

TAHITI

MICHAL
HVORECKÝ



Biblioteka
SLOW

UTOPIA

TAHITI

MICHAL
HVORECKÝ

UTOPIA

Przełożył z języka słowackiego Michał Wirchniański

Tytuł oryginału: *Tahiti. Utópia*
Copyright © Michal Hvorecký, 2019

All rights are represented by Michal Hvorecký

Copyright © Michał Wirchniański, 2023
Copyright © Biblioteka Analiz, 2023

Wydanie pierwsze

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody wydawcy jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Projekt okładki: Peter Balik
Adaptacja okładki: TYPO 2 Jolanta Ugorowska



Dwie czarno-białe fotografie w książce: Milan Rastislav Štefánik, copyright: Slovenské Muzeum Narodowe w Martinie / Slovenské národné múzeum v Martine. Autor serdecznie dziękuje za pozwolenie na publikację zdjęć

Opracowanie graficzne i skład: TYPO 2 Jolanta Ugorowska
Redaktor prowadząca: Ewa Tenderenda-Ożóg
Redakcja i korekta: Elżbieta Sokołowska | korektelka.pl

Druk: Totem.com.pl

Warszawa 2023
ISBN 978-83-967745-1-4



Táto kniha vyšla s finančnou podporou Literárneho Informačného Centra, Bratislava.

This book was published with a financial support from Centre for Information on Literature in Bratislava.

Vznik prekladu bol podporený finančným príspevkom z Fondu LITA.



Translated with the financial support from the LITA Fund.

Wydawca:
Biblioteka Analiz
ul. Mazowiecka 6/8
00-048 Warszawa
tel. 22 828 36 31
ww.rynek-ksiazki.pl
Facebook.com/bibliotekaanaliz
Facebook.com/WydawnictwoBibliotekaSlow

Radanie

O Tahiti brzegi
fale dziko biją.
Lecz wiosłujmy, bracia,
wszak się one stracą,
Słowacy ożyją!

To Tahiti nasze
dotąd twardo spało,
ale morskie fale
biją mocno stale,
aby się przebudziło.

Jeszcze palmy rosna
na Le Mont Krivani.
Kto jak Słowak czuje,
deskę niech ujmuje
i z nami surfuje.

Już Tahiti wstało,
pęta swe zerwało.
Hej, ojczyzno miła,
godzina wybiła,
Tahi, wieczna sława!

(tradycyjna słowacka pieśń hymniczna)



Sklepienie niebieskie to łupina.
Mężczyzna to również łupina.

Kobieta jest łupiną mężczyzny. Mężczyzna jest łupiną kobiety.

Łupin jest tyle, że nie sposób ich zliczyć.

Dawno temu cały świat mieścił się w orzechu kokosowym. Na jego dnie mieszkała pierwsza istota żywa. Istniała sama dla siebie, w głębokim chaosie i niepewności.

Stworzenie unosiło się w nicości, otaczała je nieprzenikniona ciemność. Trwało to niezmiernie długo, aż pewnego dnia łupina w końcu pękła. Pojawił się błysk światła.

Nad oceanem latał wierny posłaniec niebios, ptak desperacko poszukujący skrawka suchego lądu. Chciał przysiąść i odetchnąć. Łupina stała się jego pierwszym siedliskiem, a jednocześnie – sklepieniem niebieskim.

Wtem z nieba do morza spadła wielka skała i utworzyła pierwszą wyspę. Przybywały kolejne, jeszcze bardziej szorstkie i niegościnne. Kamienie i urwiska spotykały się i zaprzyjaźniały, zderzały się i turlały jedno z drugimi, czarny – z białym, spiczasty – z płaskim, gładki otoczek – z graniastym blokiem kamiennym, przylądek – z zatoką.

Ptak się skarżył, że na gołej skale nie da się schronić przed słońcem. Wtedy zaczęły padać krople deszczu, powstała ziemia, a z niej po czasie wyrosły rośliny pnące. Kiedy obumarły i zgniły, z ich pozostałości wylęgły się robaki, z których później powstał człowiek.

Z wnętrza posypał się piasek, który pokrył równiny i plaże. Przez wąski otwór w ziemi wybiła woda; w prawo, w głąb lądu, popłynęła słodka, w lewo zaś – słona, której ciągle przybywało. Praojczyzna znajdowała się na Wędrujących Wyspach, które niekiedy pokazywały się na horyzoncie, ale gdy tylko ktoś wskazał je palcem, natychmiast znikwały.

1923

Wielu próbowało go odwieść od tego lotu. Nikomu jednak się nie udało – ani najbliższym współpracownikom, ani kochankom. Na defiladę proponowano mu szybki statek albo dorożkę, ale jedno i drugie odrzucał. Sugerowano, żeby do kokpitu wziął doświadczonego drugiego pilota, ale odebrał to jako afront. W pierwsze święto narodowe na Nowej Słowacji zamierzał sam poprowadzić maszynę.

– Udało nam się naszych rodaków sprowadzić tu ciałem – oświadczył dziennikarzom obecnym na lotnisku, gdy wsiadał na pokład. – Teraz chodzi o to, aby zdobyć rząd dusz. I to będzie nowe zwycięstwo. Zwycięstwo, które musimy odnieść, bo wszelki dalszy postęp od niego zależy.

Kochał przygody, wysokość, szybkość, ruch. Należał do grona pierwszych na świecie asów przestworzy. W Rosji przy okazji każdego przelotu rozrzucał ulotki ostrzegające mieszkańców przed groźbą bolszewizmu. Umiejętności lotnicze szlifował na frontach pierwszej wojny światowej. Odbił mnóstwo lotów zwiadowczych nad niebezpiecznymi terenami.

Latał nad gęstą siecią okopów, które ciągnęły się od Belgii po Alpy, oraz wzdłuż rosyjskiej granicy z Niemcami i Austro-Uhorskiem* – aż po Bałkany. Na zachodzie Europy widział rozorane bombami pasy ziemi, usiane niekończącymi się rzędami krzyży. Tysiące domów, z których zostały tylko osmalone, zionące pustką szkielety. Wokół twierdzy verduńskiej, w miejscu najcięższych walk na terytorium Francji, nie rosło nic, zniknęły stamtąd nawet ptaki. Brzegi rzeki Marny były usłane ciałami poległych.

Bagniste tereny Szampanii z namiotami Czerwonego Krzyża, zalane kopalnie węgla, od których uzależniona była francuska gospodarka, fabryki w ruinach lub ograbione z linii produkcyjnych wywiezionych do Niemiec. Nie wiedział, czy ręce drżą mu z wrażenia czy z powodu wibracji sterów.

Dostarczał ważnych wiadomości o ruchach wojsk nieprzyjaciela. Zainicjował rozwój meteorologii wojskowej i przekazywał dowódcom pierwsze prognozy pogody, które się sprawdzały i pomogły wielu oddziałom, a jemu przysporzyły popularności. Ostrzegał o nadchodzących niebezpiecznych zjawiskach pogodowych, przewidywał ruch frontów atmosferycznych i powstawanie chmur burzowych. Meteorologię uważał za równie niezastąpioną

* Uhorsko – w języku słowackim nazwa „Uhorsko” odnosi się do Królestwa Węgier i jego historycznego terytorium (zamieszkiwanego przez różne narody, w tym Słowaków), natomiast „Madarsko” oznacza państwo utworzone przez Węgrów po zakończeniu I wojny światowej. Ze względu na brak takiego rozróżnienia w języku polskim zdecydowałem się do przekładu adaptacji słowackiej wprowadzić nazwę „Uhorsko”, ponieważ jej przetłumaczenie jako „Węgry” wskazywałoby znaczenia inne niż w oryginale (przyjp. tłum).

w lotnictwie jak tlen w życiu człowieka. Nad okopami austro-węgierskimi zrzucał ulotki zachęcające żołnierzy do dezercji:

Słowacy! Słowianie! Bracia Drodzy!

Nadchodzi godzina wyzwolenia! Wasi reprezentanci polityczni stworzyli we Francji, w Anglii, w Rosji oraz w Ameryce wielką organizację, która pilnie pracuje nad wyzwoleniem naszego narodu. Właśnie tworzymy pierwszą własną armię. Panowie, Rodacy Kochani, pomóżcie?! W Waszych rękach spoczywa dziś przyszłość. Nie walczycie w szeregach naszego zaprzysięgłego wroga! Poddajcie się Włochom, którzy dziś stoją po naszej stronie i walczą o wyzwolenie narodów Europy Środkowej.

Paryż, czerwiec 1916 roku

W imieniu Słowackiego Komitetu Emigracyjnego

Dr Milan Štefánik

Za wyjątkowe zdolności manewrowania w powietrzu Francuzi, strategicznie, mianowali go pierwszym generałem słowackiego pochodzenia w historii! Otrzymał najwyższą rangę wojskową!

Ten nadszpiegowanie szybki awans go oszołomił. Štefánik nie wykazywał wystarczających zdolności wymaganych na tak wysoką szarżę, a tym bardziej nie miał kwalifikacji ani doświadczenia. Zdawał sobie sprawę, że tylko palący brak słowackich dowódców umożliwił mu zrobienie tak zawrotnej kariery.

Kiedy został oficerem, za cel obrał sobie doskonalenie w naukach wojskowych, planowaniu strategicznym i dowodzeniu. We wszystkim, czego się w życiu miał, zawsze dążył do osiągnięcia sukcesu. Pragnął wzbudzać podziw i zbierać pochwały. Już na uniwersytecie w Pradze jego dawne, ciche wiejskie życie wydawało mu się zamierzchłą przeszłością. Dopóty studiował dane zagadnienie, dopóki nie został dostrzeżony i postawiony za wzór dla pozostałych. Kiedy osiągnął jedno, zaraz zabierał się do czegoś innego. I zajmował się tą dziedziną tak długo, aż osiągnął w niej pierwszeństwo.

W stolicy wszystko wydawało mu się różnorodne i nowe, i tak mocno opromieniało jego obecność. Kiedyś nie miał niczego – teraz odkrywał rozliczne bogactwa. Przeżywał apogeum popularności.

Szkodziły mu tylko skandale z kobietami i długi, które zaciągał wszędzie, byle tylko wieść wystawne życie. Z zasady zatrzymywał się w luksusowych hotelach, kupował drogie ubrania i chętnie dekorował je odznaczeniami.

Zawsze pragnął uniesień, niebezpieczeństw i osobistych poświęceń. Dysponował nadwyżką sił. Pragnął ruchu, niepokojnego trwania. Żadne ze stanowisk, które zdobył, nie satysfakcjonowało go w pełni. Na złamanie karku rzucał się nawet do realizacji zadań, których inni unikali.

Z ryzykownych misji kilkakrotnie wracał uszkodzoną maszyną. W archiwum znalazłam jego odręczną notatkę: „Latam nad pozycjami nieprzyjaciela. Strzelają do mnie przy każdym przelocie. Jak dotąd nie zostałem ranny. Swoje obowiązki wypełniam gorliwie, aby narodowi słowackiemu przysporzyć honoru i dać świadectwo szczerej miłości do Francji i Polinezji”.

Piloci dopiero zaczęli latać na większe dystanse. Trasy stopniowo się wydłużały, często za cenę ran i ofiar w ludziach. Zaczęto organizować międzynarodowe zawody o to, kto dalej doleci. Za pokonanie rekordowych dystansów przyznawano atrakcyjne nagrody. Każdy lot stanowił ryzyko i obciążenie fizyczne, zwłaszcza przy złej pogodzie, ponieważ załoga długie godziny siedziała nieosłonięta, wystawiona na działanie warunków atmosferycznych.

Drewniana konstrukcja specjalnie na tę okoliczność przebudowanego hydroplanu Caproni 450, który otrzymał kod rejestracyjny 11 495, została pokryta jasnobrązowym płótnem. Ciężki trzysilnikowy bombowiec dwupłatowy należał do najnowocześniejszych maszyn alianckiej eskadry. Borykał się jednak z istotnymi przypadłościami, które wynikały z faktu, że konstrukcja powstała w trakcie wojny, oraz z ograniczeniami o charakterze technicznym. Do najniebezpieczniejszych usterek należało zerwanie anteny telegrafu, która miała tendencję do owijania się wokół steru wysokości.

Samolot sprowadził z dumą z Włoch, przez pół kuli ziemskiej, bezpośrednio od Giovanniego Caproniego. Dwa silniki Isotta Fraschini, o mocy stu pięćdziesięciu koni mechanicznych każdy, służące do napędu śmigieł ciągnących, konstruktorzy umieścili z przodu belek ogonowych, trzeci silnik znajdował się na końcu centralnej gondoli załogi i napędzał śmigło pchające.

Pilot siedział za nawigatorem, a z tyłu, za zbiornikami paliwa, skład załogi uzupełniał mechanik. Uzbrojenie stanowiły dwa karabiny maszynowe Fiat-Revelli oraz dwustukilogramowe bomby podwieszone pod kadłubem.

Dlaczego za wszelką cenę postanowił znów latać? Może chciał z ptasiej perspektywy przyjrzeć się efektom swoich wieloletnich starań. Pewnie w trakcie pierwszego święta na emigracji pragnął zobaczyć, dokąd przywiódł rodaków, prześledzić z góry, jak przebiega kolonizacja, ocenić, jak rozrastają się plantacje kokosowe, jak szybko przybywa nowych słomianych chat, gdzieś tam ozdobionych wzorami występującymi dotąd tylko w Čičmanach i Detvie. Albo chciał obejrzeć obserwatorium. Zanurzyć się w obłokach i napawać widokiem łudzaco do siebie podobnych połaci dżungli, przeplatających się pod nim w rzędach prastarych drzew, ciasno powiązanych pnączami.

Štefánik – niski i chorowity mężczyzna, którego pobrużdżoną twarz rozjaśniały jasne oczy. Dokuczały mu skurcze i bóle brzucha, utykał. Codzienne zdrowotne udręki przemagał siłą woli i z największym wysiłkiem ukrywał je przed światem. Zanedbywał odpoczynek i regenerację. Po wojnie często zdarzały mu się zapaści, nagłe, chwilowe utraty świadomości wywołane niedokrwieniem mózgu. Początkowo zasłabnięcia były sporadyczne, ale od 1918 roku występowały nawet kilka razy dziennie. Jego stan gwałtownie się pogarszał i niemal uniemożliwiał wykonywanie choćby podstawowych zadań wojskowych i politycznych.

Ostatnią zimę na Syberii spędził w niemal ustawicznych omdleniach, które były wywoływane przez hałas lub nagły rozbłysk światła. Prawie nie jadł. Zasypiał jedynie pod wpływem silnych narkotyków. Osobisty lekarz z trudem wmuszał w niego w ciągu dnia kilka łyżeczek herbaty lub kawy.

Ta bezsilność osłabiała chwiejną psychikę. W październiku 1918 roku stracił przytomność, gdy w Japonii przyjmował delegację legionistów z Syberii. Kilka miesięcy później na statku płynącym na Tahiti z równowagi wyprowadził go telegram o tym, że do Pragi wkroczyli uroczyście żołnierze francuscy i włoscy z Edvardem Benešem na czele.

Unikatowa fotografia, na której uchwycono załogę feralnego Caproniego na krótko przed startem, przedstawia niecodzienny obrazek: mężczyźni w lekkich kombinezonach stoją nieopodal samolotu, a za Štefánikiem ubranym w letni mundur galowy, skrzący się wstęgami i odznaczeniami, stoi krzesło. Osłabiony generał nie był w stanie utrzymać się na nogach; przed odlotem siedział, a wstał tylko do zdjęcia. Ale nawet niedomaganie potrafił zręcznie wykorzystać do kreowania własnego wizerunku. Gdy na szali leżą wolność i dobro narodu, pracuje w każdych warunkach, zdawał się mówić.

Nie mogę się napatrzyć na to zdjęcie. Z oczu o jasnych tęczęwkach i zaskakująco białych kącikach wyzierało zmęczenie. W fotelu pilota od zawsze czuł się w swoim żywiole. Jakby w przestworzach poruszał się pewniej, niż gdy stapał po ziemi. Może potrzebował większego dystansu do planety – fantasta, poeta, marzyciel, a jednocześnie naukowiec, pragmatyk, mąż stanu. Może dlatego tak bardzo ciągnęło go do astronomii, do gwiazd, dzięki którym odkrył Polinezję.

Na Tahiti jeszcze, ma się rozumieć, nie wybudowano lotniska. Dzięki pływakom jego samolot mógł wzbic się i wylądować na powierzchni morza. Attaché wojskowy zadbał o przygotowanie koordynat.

W ostatnich trzech dniach cała okolica i budynki w stolicy oraz na prowincji zakwitły feerią barw. Z okien zwiślały flagi słowackie i francuskie, a nad główną arterią komunikacyjną ciągnęły się ozdobne łuki z powiewającymi trójkątnymi chorągiewkami. Na odrapanych murach poczty głównej powiewał herb miasta, kolejne trzepotały splecione na masztach. Naprzeciwko Banku Narodowego, pod niebiesko-biało-czerwonym baldachimem, ustawiono trybunę obramowaną połączanymi barierkami. Na zaaranżowanej nieopodal małej scenie amatorska trupa teatralna zagra wieczorem przedstawienie na motywach Dunajskiej Wędrówki.

Na podwyższeniu niebawem pojawi się generał w towarzystwie przedstawicieli rządu. Naprzeciw, na dziedzińcu, zbito naprędce dwie kolejne drewniane trybuny, z których weterani mogli śledzić defiladę. Obok nich zgromadziły się połączone siły słowackich i francuskich orkiestr dętych, które jednak nijak nie mogły się zgrać.

Ulice, okna i balkony już przed rozpoczęciem zaludniły się twarzami spragnionymi wrażeń. Przechodnie oblegli barierki, a niektórzy przytrzymywali się latarni. Patriotci oblepili nawet pomnik. W kłapach niemal wszystkich obecnych mężczyzn mieniły się kokardy w barwach narodowych lub miniaturowe flagi.

Uroczystość rozpocznie się lada moment. Idealna pogoda, lekka bryza, wyśmienita widoczność. Na słup linii energetycznej wdrapał się jakiś wyrostek. „Wystartował!” – wrzasnął histerycznie.

Rozległ się huraganowy aplauz.

Štefánik zatoczył trzy wielkie koła nad wyspami, okrążył Tahiti Liptavi oraz Tahiti Tatrai i dłuższy czas szybował

nad oceanem. Na chwilę zniknął z pola widzenia, pewnie znów chciał pobyc sam.

Błękitny nieboskłon ostro kontrastował z taflą wody. Nad płaskim horyzontem do południa prażyło słońce. Panował upał. Stada białych czapli lądowały z trzepotem na morzu. Gęstwiny chaszcz i przedpotopowych paproci ciągnęły się w nieskończoność. Chatki na brzegu opustoszały, zostali w nich tylko opoje wylegujący się w hamakach, z butelkami gorzałki w zasięgu rąk, jakby pocenie się urosło do rangi sensu ich życia.

Kto tylko mógł, przyszedł pozdrowić i oddać honory dowódcy, który niedługo wyląduje. Tysiące Słowaków, ale, co zaskakujące, także tysiące rdzennych mieszkańców Tahiti, tuziny Chińczyków oraz kilku Francuzów, zgromadziło się, aby obserwować przylot sławnego, owianego legendą tytana i dziwaka.

Miejscowi mawiali, że ledwie pozbyli się zboczeńca, obiboka, pijusa, lenia i pasożyta Gauguina, a zjawił się kolejny podejrzany obcokrajowiec z dziwnymi zamiłowaniem, słabością do gwiazd i komet, a zwłaszcza – do miejscowych dziewcząt. Za pierwszym przywlekło się raptem kilku desperatów, za drugim – nieproszone masy...

Ludzie stawali na placach i wyciągali się ponad morzem machających kapeluszy, aby w końcu go zobaczyć. Gęsty tłum wiercił się z ekscytacji. Przez ustawiczne triumfalne okrzyki przebijał się niewyraźnie tętent bębnow. Tłum zgęstniał, podnieceni ludzie pragnęli choć przelotnie zobaczyć z bliska sławną postać.

Na horyzoncie pojawił się statek, pewnie z kolejnymi imigrantami z Uhorska. Kiedyś widok statku na

horyzoncie wywoływał panikę wśród miejscowych. Częsteczki innego świata, zapowiedź wielkich zmian, podbojów, masakr i krwawych rządów. Nawet teraz nie wszyscy przychylnie witali przybyszów. Rozwoju wypadków nie dało się jednak zatrzymać.

Samolot w końcu zaczął obniżać lot. Tysiące par oczu śledziło każdy ruch maszyny, która z terkotem krajała powietrze wielkimi śmigłami i wyrzucała z siebie kłęby czarnego dymu. Rozległy się hymny.

Wydawało się, że generał pomachał do tłumu. Setki rąk odmachały we frenetycznej odpowiedzi. Wiwaty przybrały na sile.

Przednie formacje maszerowały pod łopoczącym sklepieniem flag. Mężczyźni o granitowych obliczach na gorącochrwistych, tańczących rumakach. Powiewały zarówno słowackie flagi z charakterystycznym podwójnym krzyżem, jak i podobne do austriackich czerwono-białe tahitańskie oraz francuskie. Ktoś wiozł udekorowaną bramę powitalną. Gwar się nasilał.

Doszło też do pierwszych awantur. Tahitanki siedziały na ziemi, większość z niemowlakami przy brązowych piersiach, i w trakcie karmienia popijały mleko kokosowe. Liczne Słowaczki przywykły już do chodzenia topless, co drażniło słowackich misjonarzy i konserwatystów. Mniszki próbowały siłą nałożyć śmiałkiniom białe habity, które autochtonkom wmuszały od dziesięcioleci. Wiele Słowaczek na obczyźnie tradycyjnie zakrywało głowy chustami, mimo że w upale było to uciążliwe. Staruszki zakładały, ale tylko od święta, koszule z bufiastymi, bogato zdobionymi rękawami, spódnice, gorsety i szerokie fartuchy z dwóch

połówek czarnego perkalu, a na ramionach, na skos przez piersi, wiązały trójkątne chusty.

Starcia światopoglądowe wybuchały na wyspie niemal codziennie. Kawalerowie wystawiali w strojach ludowych z okolic Terchovej i lnianych gatkach z szerokim zielonym ozdobnym sznurowaniem. W białych koszulach z fabrycznego sukna pocili się niemiłosiernie i przeklinali na czym świat stoi. Wielu wołało raczej zdjąć górną część garderoby i paradować po plaży z odsłoniętym torsem. Ogorzałym mężczyznom płonęły policzki, na czołach perliły się krople potu, a żołądki były pustoszone przez mikroby. Co dziesiątego trawiły syfilis lub gruźlica, a z powodu niedoboru witamin większość na własnej skórze doświadczyła uroków szkorbutu.

Grupki Tahitańczyków w regularnych odstępach wykrzykiwały zbitki słów, które bardziej niż ludzką mowę przypominały głęboki pomruk, jakąś niezrozumiałą litanię.

Samolot wolno się obniżał, schodził z pułapu około sześciuset metrów.

Oficer lotnictwa zapalił świecę dymną, aby określić kierunek wiatru.

Muzyka przyspieszyła. Orkiestra zaintonowała chwytliwą pieśń patriotyczną i zgromadzeni skwapliwie dołączyli do wykonania. Chwilę całe rodziny śpiewały chóralnie, ale szybko się okazało, że drugiej i trzeciej zwrotki nie znają na pamięć.

Nagle samolot znów zaczął się wznosić. Pewnie pilot w ostatniej chwili uznał, że lepiej jeszcze raz oblecieć plażę, aby na morzu wypatrzeć najdogodniejsze miejsce do

wylądowania i idealnie dobrać kąt podejścia. Ale maszyna była zbyt ciężka – po szybkiej utracie wysokości silniki nie były w stanie jej poderwać. Samolot przy niepotrzebnym wznoszeniu wytracał prędkość, na ułamek sekundy zawisł nawet, wbity w chmurę, po czym skierował się ostro ku ziemi, wręcz pikował. Tłum krzyknął z przerażenia.

Trójkątowe podwozie z dwiema płozami ogonowymi na końcach belek z sykiem zajęło się ogniem. W momencie upadku ogień buzował w przedniej części samolotu. Na granicy piasku i wody dziób uderzył z ogłuszającym łoskotem o ziemię, maszyna stanęła w płomieniach.

Dzięki zachowanym mapkom sytuacyjnym, które na podstawie zeznań naocznych świadków sporządzili wojskowi, można precyzyjnie określić, co się stało. Štefánik najwyraźniej zemdlął w trakcie wykonywania manewru. To by wyjaśniało nagły upadek i położenie samolotu, który najpierw leciał pionowo, a potem obracał się na grzbiet, jakby pilot stracił przytomność w locie pikującym i ciągle naciskał na dźwignię.

Wszystkich ogarnął szok. Cała okolica zamarła. Tętniąca życiem dżungla zmieniła się w nieruchomą scenografię.

Powietrze rozdarły gwałtowne detonacje wywołane eksplozją zbiorników paliwa. Zgrzyty ogłuszyły tłum, który w panice rozpiezchł się na wszystkie strony. W piekielnym kręgu na czarnej powierzchni morza buchały płomienie. Z bezpiecznej odległości dżungli odzywał się szept niezliczonych głosów. Wiele rąk wskazywało na niebo, ludzie wydawali okrzyki, lamentowali. Z ciał lał się pot, białka oczu błyszczały, a twarze wyglądały jak przerażające,